

Stefan Lichański – *Trzeba rozprzestrzeniać radość*

„Orka”

nr 5 z 2 lutego 1958 r.

Literatura nasza żyje nastrojami Apokalipsy, potopu, końca świata, sądu ostatecznego. Jest dostojnie tragiczna i wzniośle pesymistyczna. Gdyby którykolwiek z jej nazbyt utrudzonych męką istnienia przedstawicieli zarzucił pisanie, mógłby z pewnością liczyć na poważne stanowisko w zacnym i ze wszech miar czcigodnym cechu karawaniarzy.

Dlatego też dla wszystkich, którym już kością w gardle staje ta jeremiaszowo-karawaniarska maniera, wielką uciechą i przyjemnością jest fakt uczczenia nagrodą literacką Warszawy pisarza, którego Muza, pogodna i zdrowa, w najmniejszym nawet stopniu nie uległa zaczadzeniu kawiarniano-knajpianymi wyziewami „polskiego egzystencjalizmu”. Nie znaczy to bynajmniej, aby Władysław Zambrzycki miał się zaliczać do owych – jak ich nazywa stary Zabłocki – „odwiecznych Sarmatów”, do tych najrdzenniejszych, najserdeczniejszych Lechitów, których – zdaniem Słowackiego – łatwo poznać po tym, że im z oczu

*Patrzy gburstwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów...*

Owszem, jest w prozie autora „Naszej Pani Radosnej” skłonność do potoczy-stego, rubasznego czasem gawędziarstwa, do trefnej anegdoty, przywodząca na myśl „Pamiętniki” pana Paska i facecje pana Zagłoby. Ale ta staropolska zawieszistość stylu, jak również staropolskie upodobanie do koloryzowania, idą w parze z subtelnością dowcipu i pełnym wdziękiem, wolnym od pedanterii intelektualizmem, wywodzącym się z tradycji owego najwspanialszego okresu dziejów literatury francuskiej, okresu, który otwierają Rabelais i Montaigne, a zamyka Chamfort swymi nieśmiertelnymi „Charakterami i anegdotami”.

Gallickość intelektu i poczucie humoru strzeże Zambrzyckiego zarówno przed sentymentalizmem i ponuractwem, jak i przed zagubieniem się w farsowo-felietonowych dowcipkach. „Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie” są u niego dawkowane w sposób zapewniający ich wzajemną równowagę. Mało tego: pisarz ten zna dobrze granice swoich możliwości. W jego pisarstwie nie znać wysiłku, trudu, pocenia się i sadzenia na przerastające siły autora genialności. Przeciwnie: książki Zambrzyckiego robią takie wrażenie, jakby były pisane pół żartem, od niechcienia, dla własnej satysfakcji i rozrywki. Przy lekturze jego utworów odnosimy wrażenie, że autora byłoby stać na daleko więcej, ale że jemu wcale na owym „daleko więcej” nie zależy, że Zambrzycki to pisarz-amator, który piórem tylko się bawi i nas przy okazji zabawia.

„Bawi się”... Na jak europejskim poziomie jednak odbywa się ta zabawa! Autor niby to tylko wytwornie i ze smakiem gawędzi, snuje swoje zabawne i pomysłowe mistyfikacje, prowadzi nas jak wytrawny przewodnik w labirynty minionych stuleci, ale jednocześnie podsuwa nam niepostrzeżenie „głębsze znaczenie”

swoich gawęd, wtajemnicza w arkana swojej filozofii, swojej wiedzy o świecie i człowieku.

Jest to zaś filozofia pogodna i wyrozumiała, godząca uśmiechnięty sceptycyzm z serdeczną życzliwością dla ludzi i zaufaniem do świata. Dlatego też trudno o książki bardziej potrzebne współczesnemu czytelnikowi, to straszonemu Apokalipsą i groźnymi prorocत्वami o rychłej zagładzie bezbożnego Babilonu, to znów musztrowanemu, pouczanemu i oświecanemu przez najrozmaitszego gatunku powołanych i niepowołanych (takich zawsze najwięcej!) apostołów, misjonarzy i kaznodziejów.

Wznowiony świeżo i uczczony nagrodą Warszawy „Pamiętnik Filipka” jest książką naprawdę uroczą i arcydziełem literackiej mistyfikacji. Ma to być rzekomo odnaleziony, opracowany i ogłoszony drukiem przez autora, pamiętnik z lat 1804–1806, przedstawiający w kreślonych ze wspaniałym rozmachem i humorem drobnych obrazkach życie codzienne ówczesnej Warszawy. Spotykamy na kartach tej książki i księcia Józefa Poniatowskiego, i Cypriana Godebskiego, i księdza Onufrego Kopczyńskiego, i Wojciecha Bogusławskiego, i liczną podówczas w Warszawie kolonię francuskich emigrantów z niekoronowanym Ludwikiem XVIII, hrabią de Lille, na czele, i reprezentantów pruskich władz okupacyjnych, a wśród nich genialnego fantastę E.T.A. Hoffmanna, przede wszystkim zaś niesłychanie bogatą galerię przedstawicieli warszawskiego ludu: rzemieślników, kupców, przekupek, drobnych oficjalistów, służby, niebieskich ptaków. Zambrzycki operuje tą oszałamiającą mnogością figur, motywów i wątków ze zdumiewającą zręcznością. Pisana pozornie bez żadnego planu i żadnej określonej koncepcji, jego książka jest w gruncie rzeczy świetnie skomponowaną całością, znakomitą i całkowicie udaną próbą napisania powieści o mieście, utrzymanej w stylu głószonego niegdyś przez Duhamela i Romainsa unanimumu.

Bohaterem książki nie jest bowiem ów tytułowy Filipka, młody, inteligentny, ciekawy i rzutki chłopak, dziecko warszawskiej ulicy. Jest on tylko kronikarzem dziejów swego miasta. Kronikarzem zresztą znakomitym, wyposażonym przez autora bogato w dar bystrej obserwacji, celnego dowcipu i doskonale poczucie stylu. Ta książka nie opowiada o Warszawie sprzed stu pięćdziesięciu lat: ona ją stawia nam przed oczy.

Dawno już nie czytaliśmy tak pięknej książki o Warszawie. Nic też dziwnego, że przypadła jej literacka nagroda stolicy. Nie tylko jednak ze względu na zawarty w nim obraz naszego miasta zasłużył „Pamiętnik Filipka” na to zaszczytne wyróżnienie. Z najgłębszą racją można odnieść do niego słowa, które wypowiedział niegdyś Walter Scott o „Przypadkach Idziego Blasa” Lesage’a: „Dzieło to pozostawia czytelnika zadowolonym z siebie samego i rodzaju ludzkiego”, co jest niepoślednią zgoła zasługą, gdyż tego rodzaju zadowolenie czyni człowieka pogodnym, ufny i spokojnym, a jak naucza znakomity mistrz Zambrzyckiego, Montaigne: „Trzeba rozprzestrzeniać radość, ale ścieśniać, o ile można, smutek”.